

Pierwsze zwłoki czarny labrador Billa, Mack, znalazł, węsząc w pokładach liści, które pozostały po zeszłorocznej jesieni. Dwukrotnie warknął, a potem zaczął chodzić w kółko, energicznie machając ogonem.

– Co tam znalazłeś, stary? Chyba nie kolejnego pieprzonego jeżozwierza? Pamiętasz, co się stało, kiedy ostatnio goniłeś za jeżozwierzem? Przez kilka dni miałeś pokaleczony cały pysk.

Mack nadal węszył w stercie liści. Pod drzewami panował mrok, jednak rozciągające się przed nim jezioro Wolverine lśniło w słońcu wszystkimi odcieniami błękitu. Dostrzegł molo, z którego skauci często skakali do jeziora i przy którym cumowali łodzie. Ich łajby o czerwonych poszyciach kołysały się na wodzie, nigdzie jednak – co wydawało się raczej niezwykle – nie było widać skautów.

Nie było też słychać żadnych krzyków ani śmiechów. Bill zatrzymał się na chwilę i zaczął nasłuchiwać, do jego uszu dotarł jednak tylko łagodny szelest drzew rosnących przy plaży i przenikliwe nawoływania dwóch sójek błękitnych, które sprawiały wrażenie, jakby nie mogły siebie odnaleźć.

Mack znowu warknął. Bill odwrócił się i zobaczył, że pies nadal krąży wokół tej samej sterty liści, wymachując ogonem z taką energią, jakby chciał go sobie oderwać.

– Daj spokój, Mack! Cokolwiek to jest, zostaw to! Pamiętaj, jak mnie nie posłuchasz, to się spóźnimy.

Ale Mack go nie posłuchał, wsunął natomiast nos pomiędzy liście, a po chwili zaczął gwałtownie kopać w ziemi łapami.

Bill niechętnie podszedł do psa i złapał go za obrożę.

– Wiesz, jak kończą psy, które nie słuchają swoich panów? Zdychają z głodu. Zostaw to, do cholery, i chodźmy stąd!

Zaczął odciągać Macka od sterty liści, kiedy dostrzegł wśród nich bladą ludzką rękę. Wyglądała jak ręka dziecka, nadgarstek otaczało kilka plecionych bransoletek, jakie dzieci często ofiarowują sobie w dowód przyjaźni.

– O mój Boże – stęknął Bill.

Lewą ręką mocniej złapał obrożę Macka, przyklęknął i prawą dłonią zaczął odgarniać liście. Nie zabrało mu to dużo czasu – pokrywa z liści była dość cienka, miała jedynie skrywać ciało przed przypadkowymi spacerowiczami.

Był to chłopak najwyżej dwunasto- albo trzynastoletni. Miał rude włosy, zadarty nos i mnóstwo piegów na twarzy. Ubrany był w bawełnianą koszulkę z emblematem Obozowiska Rosomaka i w niebieskie spodenki, nie miał jednak ani skarpet, ani obuwia. W prawej ręce trzymał finkę, na której ostrzu widać było ciemne plamy zakrzepłej krwi. Mack znowu warknął, ale tym razem Bill skarcił go ostro:

– Zamknij się, dobrze? Trochę szacunku dla śmierci.

Nie było najmniejszych wątpliwości, że chłopiec nie żyje. Miał głęboko poderżnięte gardło – rozcięcie na szyi wyglądało jak drugie usta. W ranie i wokół niej roiło się od much.

Bill wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy, jednak tutaj, pomiędzy drzewami, nie miał zasięgu. Wiedział, że aparat telefoniczny znajduje się niedaleko, w jadalni Obozowiska Rosomaka, wstał więc z kolan, przypiął smycz do obroży i odciągnął Macka od zwłok, po czym szybkim krokiem ruszył w kierunku jeziora. Do brzegu było jeszcze jakieś sto metrów, kiedy Mack szarpnął w bok i znowu zawarczał.

– Na miłość boską, Mack! Co tym razem?

Mack ciągnął coraz mocniej. W pewnej chwili zacharczał, przyduszony obrożą, i Bill postanowił mu się poddać. Mack zawsze był posłusznym psem, skoro więc reagował tak, jakby działo się coś złego, Bill postanowił, że pozwoli labradorowi, żeby pokazał, o co mu chodzi.

Niedaleko od brzegu drzewa zaczęły się rozstępować, tworząc niewielką polanę porośniętą trawą. To na niej skauci po zmroku palili ognisko, piekli kiełbaski, śpiewali *Great Green Gobs of Greasy Grimy Gopher Guts* i opowiadali sobie przerażające historie.

Była godzina jedenasta przed południem. Świeciło słońce, a lekka bryza marszczyła powierzchnię jeziora. Jednak to, co Bill zobaczył w tych sielankowych okolicznościach, w swoim niezmiernym okropieństwie nie mogło się równać z niczym, czego dotąd doświadczył w życiu. W piachu na polanie leżały zwłoki przynajmniej piętnastu chłopaków i siedmiu dorosłych mężczyzn. Niektóre ciała były ubrane – w mundury skautowskie, bawełniane koszulki i spodenki – ale przynajmniej kilka było zupełnie nagich. Część miała poderżnięte gardła, podobnie jak rudy chłopak w lesie. Inni mieli porozcinane nadgarstki, jednak nie w poprzek, lecz aż po barki wzdłuż żył i tętnic, które były dosłownie porozrywane w taki sposób, żeby ofiary wykrwawiły się jak najszybciej, by uratowanie ich było niemożliwe, nawet gdyby jakimś cudem pomoc dotarła do nich, gdy jeszcze żyli. Z piersi przynajmniej trzech ofiar wystawały finki. Jeden z chłopców leżał na boku z tak brutalnie rozciętym brzuchem, że jego wnętrzności wypłynęły na zewnątrz, tworząc na trawie cuchnącą stertę. Chłopak miał na nosie okulary w grubych rogowych oprawkach.

Teraz nawet Mack znieruchomiał i przestał warczeć. W absolutnej ciszy popatrzył na Billa, a ten ujrzał w psim wzroku coś takiego, czego jeszcze nigdy nie widział u żadnego ze swoich psów, a miał ich już w życiu kilka. To był strach. Cokolwiek się tutaj wydarzyło, Mack panicznie się tego bał. Zatrząsł się i szarpnął smycz, a po chwili zaczął drapać ziemię tak, jakby chciał razem ze swoim panem jak najszybciej stąd uciec. Bill musiał się odwrócić. W gardle czuł wielką gulę, jednak za wszelką cenę chciał uniknąć wymiotowania.

– Chodź, stary. – Pociągnął psa za smycz.

Na sztywnych nogach ruszył przez las równolegle do brzegu jeziora, zmierzając ku drewnianym zabudowaniom ośrodka.

Kiedy dotarł do budynku jadalni, kazał Mackowi poczekać, a sam wszedł do środka. W korytarzu było ciepło i parno, a w powietrzu unosił się silny zapach drewna cedrowego. Zanim dotarł do telefonu, puścił się pędem w kierunku toalety na końcu korytarza, szarpnął drzwii z głośnym charkotem zwymiotował do umywalki pomarańczową, kwaśną breję.

Gdy skończył, podniósł głowę i popatrzył na siebie w lustrze. Ujrzał spoconego, siwowłosego faceta z długą brodą, o ogorzałej twarzy osobnika, który bardzo dużo czasu spędza poza domem, w różnych warunkach. Jeszcze nie docierało do niego znaczenie tego, co przed chwilą zobaczył, jednak był pewien, że już nic gorszego nie może mu się przydarzyć.

Przeżegnał się – po raz pierwszy od bardzo długiego czasu.